DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok 1924 Nr. 4

MARJA KONOPNICKA.

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą twe koi łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść z tych zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

STEFAN ŻEROMSKI.

Zmierzch.

Między grube pnie kilku świerków, co sterczą samotnie na skraju poręby, plamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniło-zielony upłaz wzgórza, zsuwało się słońce, pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyzłacając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębów i szkliły na wodach.

W bruzdach ściernisk i podorywek jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, — mieniły się rude plamy, jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padał uciązliwy dla oczu, zwodniczy cień fioletowy, piaszczyste wydmy żółkły — zielska na przykopach, krzaki na miedzach miały jakieś nieswoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz, obdartych z lasu, płynęła struga, rozlewając się w zatoki, bagna, planie i szyje, powstająca tam właśnie ze źródlisk zaskórnych. Dokoła wody, na torfiastym kożuchu rosły gąszcze trzcin, wysmukłe sity, tatarki i kępy niskiej rokiciny. Nieruchoma, czerwona woda świeciła się teraz z pod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam blado-zielonych.

Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakroć z wyciągniętemi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze — wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę piersiami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej, ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarze i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatemi skrzydłami dokoła badylów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlanej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szczudlastych nogach, cienkich jak włosy, a zaopatrzonych w kolosalne i nasycone tłuszczem stopy — i pracowało dwoje ludzi.

Błota należały do dworu. Dawniejszy młody dziedzic taplał się po nich z wyżłem za kaczkami i bekasami póty, póki wszystkich lasów nie wyciął, pól nie zostawił odłogiem i, wyleciawszy nagle z dziedzictwa, nie oparł się aż w Warszawie, gdzie teraz wodę sodową w budce sprzedaje.

Gdy nastał nowy, madry dziedzic, biegał po polach z kijkiem i często nad błotami stawał.

Gmerał w bagnie rękami, dziury kopał, mierzył, wąchał — aż wreszcie wymyślił rzecz dziwną. Kazał karbowemu najmować dzień w dzień chłopów do kopania torfu, szlam na pola wywozić taczkami, na kupy składać, a dziury kopać precz, póki się nie wybierze miejsca na sadzawkę; wówczas groble fundować, dół na drugą sadzawkę wybierać niżej, aż ich się kilkanaście uzbiera; wtedy rowy rżnąć, wody napuszczać, mnichy wstawiać i ryby sadzić...

Do wywożenia torfu najął się zaraz Walek Gibała, bezrolny wyrobnik, na komornem siedzący w pobliskiej wiosce. Gibała u dawnego dziedzica służył za fornala, ale u nowego się nie utrzymał. Nowy dziedzic i nowy rządca po pierwsze ordynarję i pensję zaraz zmniejszyli, a powtóre szukali w każdej rzeczy złodziejstwa. U dawnego dziedzica każdy fornal pół garnca owsa swojej parze koni ujmował i niósł wieczorkiem do szynkarza Berlina za tytuń, za bibułkę, za kapkę gorzałki. Jak tylko nowy rządca nastał, zaraz ten interes zmiarkował, a że na Walka właśnie wina padła, w pysk mu dał i wygnał ze służby.

Odtąd Walek z babą siedział na komornem we wsi, bo służby znaleźć nie mógł: rządca wydał mu takie świadectwo, że niepodobna było zgłaszać się nawet gdziekolwiek do służby. We żniwa tu i owdzie po chłopach zarabiali oboje; ale zimą i na przednówku marli głód straszliwy, nieopisany. Ogromny, kościsty, z żelaznymi mięśniami chłop wysechł jak wiór, zczerniał, zgarbił się, zesłabł. Baba — jak baba, u kumoszki się pożywi, grzybów, malin, poziomek nazbiera do dworu, albo do żyda zaniesie i choć na bułkę chleba zarobi, a chłop przy młocce bez jedzenia nie podoła. Gdy karbowy zapowiedział kopanie na łące, obojgu aż się oczy zaświeciły. Sam rządca trzydzieści kopiejek od wyrzucenia sążnia kubicznego obiecał.

Walek babę do kopania zajmował dzień dnia. Ona taczki naładowuje, on po tarcicach, rzuconych przez bajora, wywozi szlam na pole. Robota pali im się w rękach. Mają dwoje wielkich i głębokich taczek, nim Walek puste przyciągnie, już drugie naładowane; — szlę na ramiona narzuca i pcha pod górę. Żelazne kółko skrzypi przeraźliwie; rzadkie, czarne, cieknące, przerośnięte korzonkami błoto pierzcha i flejtuchami pada na obnażone do kolan nogi chłopa, gdy taczki z deski na deskę przeskakują, szla wrzyna mu się w kark i ramiona, wyciskając na koszuli czarną pręgę cuchnącego potu, ręce mdleją w łokciach, nogi cierpną i drętwieją od zanurzania ich w szlamie — ale dwa kubiki na dużym dniu wybrane — to znaczy kawał grosza w kieszeni.

Mieli nadzieję, że pod koniec jesieni trzydzieści rubli odłożą, komorne zapłacą, beczkę kapusty zakupią, ziemniaków z pięć korcy, sukmanę, buty, zapasek ze dwie, szorc dla baby, płótna na koszule, że przebiedują do wiosny, to młocką, to tkactwem u ludzi dorabiając.

Aż tu rządcy po trzydzieści kopiejek od kubika wydało się znienacka za wiele. Zwąchał, że nie każdy się złakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy bez namysłu do takiej roboty się kwapią; po dwadzieścia kopiejek, powiada, to dobrze, a nie, to nie...

Po chłopach w taki czas nie zarobi, dwór się swoimi ludźmi przy młockarniach i maszynach obywa — przebierać niema w czem. Walek po takiej zapowiedzi poszedł do karczmy i schlał się ze złości jak bydlę. Na drugi dzień babę wyprał i pojął ze sobą do roboty.

Od tego czasu — na małym dniu — te same dwa kubiki wyrzucają, od rannego brzasku do szczerej nocy nie ustępując w robocie.

I teraz oto z dala noc idzie: dalekie, jasnoniebieskie lasy zczerniały i rozpływają się w pomroce szarej, na wodach blask przygasa, od stojących przed zorzą świerków padają niezmierne cienie, na szczytach wzgórz, po porębach, czerwienią się tylko jeszcze gdzieniegdzie to pniaki, to kamienie. Od tych punktów świecących odbijają się małe i nikłe promyki, wpadając w głębokie pustki, jakie tworzy pośród przedmiotów ciemność niezupełna, wibrują w nich, łamią się, drżą przez drgnienie oka i gasną, gasną po kolei. Drzewa i krzewy tracą wypukłość, bryłowatość, kolor naturalny i tkwią w szarej przestrzeni tylko jako płaskie kształty o dziwacznych zarysach, czarne zupełnie.

W nizinie zsiada się już mrok gęsty i pociąga chłód nawskroś przejmujący człowieka. Pomroka idzie niewidzialnemi falami, pełznie po zboczach wzgórz, wciągając w siebie jałowe barwy ściernisk, wykrotów, osypisk, głazów.

Na spotkanie fal mroku wstają z bagien inne, białawe, przejrzyste, ledwo — ledwo widzialne, — czołgają się smugami, kłębami okręcają się dokoła zarośli, dygocą i miętoszą ponad wód powierzchnią. Zimny powiew wilgoci mięsi je, tłucze po dnie doliny, rozciąga na płask, jak postaw zgrzebnego płótna.

— Mgła idzie... — szepce Walkowa. Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagląda w oczy i uciska serce jakąś nieznaną zgryzotą. Walkową strach ogarnia. Włosy jeżą jej się na głowie i mrowie przechodzi po skórze. Mgły idą, jak żywe ciała, podpełzają do niej chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu ławą suną coraz natarczywiej. Kładą na niej wreszcie wilgotne swe ręce, wsiąkają w ciało aż do kości, drapią w gardzieli i łechcą w piersiach. Wtedy przypomina jej się jej dziecko. Od południa go nie widziała: śpi samo jedno w zamkniętej izbie, w kolebce lipowej zawieszonej u stragarza na brzozowych wiciach. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka... Matka słyszy ten płacz przedziwny, żałosny, jak pisk kani na pustkowiu. — Rozlega się on w jej uszach, nęka jakieś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o niem, bo twarda robota rozprasza wszelkie myśli, unicestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją do skupienia się, zaczepiania myślami o tę kruszynę...

— Walek — mówi trwożliwie, gdy chłop taczki przyciągnął — polecę do chałupy, naskrobię ziemniaków?...

Gibała nie odpowiada, jakby nie dosłyszał, zabiera taczki i rusza, przysiadając, jak wór żyta na wadze dziesiętnej. Gdy powrócił, kobieta błagała znowu:

— Waluś, polecę?

— Ej... — mruknął od niechcenia.

Zna ona jego gniew, wie, jak on umie chwycić pod żebro, zebrać w garść skórę, trząsnąć raz, — drugi, a potem cisnąć człowiekiem, jak kamieniem między szuwary. Wie, jak on potrafi zedrzeć jej szmatkę z głowy, omotać sobie pięść włosami i przewlec struchlałą kobietę kawał drogi, albo w zapamiętałości wyrwać z błota rydel i ciąć przez łeb bez namysłu — zabije, czy nie zabije.

Ale nad bojaźnią kary góruje niecierpliwa troska, podniecająca aż do bólu. Chwilami baba zamierza uciec: tylko się na bałyku zsunąć w wąwozik, skoczyć przez strugę, a potem po roli, po zagonach, na przełaj. Schylając się i napełniając taczki, leci myślami skacze jak łasica, wyczuwa już prawie ból, gdy boso biec będzie po ścierniach, zarosłych drobną tarniną i jeżynami... Te ostre kolki kłują nietylko jej nogi, ale przebijają serce. Dopada chaty, odmyka zasuwę drewnianym kluczem, bije jej na twarz ciepło i zaduch izby — spina się do kolebki... Zabije ją Walek, gdy przyjdzie do chaty, skatuje — a to i cóż: to tam już potem...

Skoro jednak Walek wynurzy się ze mgły, ogarnia ją lęk jego pięści. Znowu się modli pokornie, aczkolwiek wie, że jej ten zbój nie puści.

— A tam dziewucha może uświerkła...

Nie odpowiedział nic, zrzucił z ramienia szelkę od taczek, zbliżył się do żony i wskazał ruchem głowy palik, do którego muszą dziś dokopać. Potem ujął za rydel i zaczął raz za razem narzucać szlam na swoje taczki. Robił to zapamiętale, szybko, co tchu. Narzuciwszy pełne taczki, popchnął je, biegnąc cwałem i rzekł na odchodnem:

— Pchaj i ty swoje, próżniaku...

Pojęła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubijańską dobroć, tę twardą i surową jakby pieszczotę, bo jeśli narzucają ziemię oboje, robotę skończyć można daleko prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy, jak małpa, narzucała błoto cztery razy szybciej — już nie mięśniami, nie z chłopską, rozważną ekonomią wysiłku, ale mocą nerwów. W piersiach jej rzężało, pod powiekami migały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy gorzkie, grube, łzy bezmyślnego bólu — w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrzy, czy do palika daleko; gdy ładunek gotowy, chwyta taczki i biegnie „w dyrdy“, naśladując chłopa.

Mgły wspięły się wysoko, zawlekły szuwary i nad szczytem olszyn murem nieruchomym stoją. — Znać w nich drzewa, jak plamy nieokreślonej barwy, dziwacznie wielkich kształtów, a nędzarzy, biegających wpoprzek rozdołu, jak jakieś potwornie ogromne widma.

Głowy ich opadają na piersi, ręce wykonywują ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi...

Kółka taczek turkocą i skwierczą, fale podobne do rozcieńczonego wodą mleka, kołyszą się między wzgórzami czarnemi.

W głębinie niebios rozniecıła się gwiazda wieczorna, płonie, drżąc i ciska wpoprzek mroków ubogie swoje światełko.

Z dziejów Polski.

Mieczysław I i Bolesław I Chrobry.

II.

Zdawało się, że dla Słowiańszczyzny zachodniej wybiła już ostatnia godzina, kiedy królowie sascy, przywdziali koronę cesarzy niemieckich. Nad Łabą, w ziemiach do niedawna słowiańskich, gdzie ludność pierwotna była podbita i częściowo już wytępiona, cesarze ci, saskiego rodu, pozakładali pograniczne księstwa, które się zwały monarchjami albo margrabstwami, urządzone zaś były po wojskowemu, by ludy słowiańskie ustawicznie nękać wojną, wyniszczać i rozpościerać się coraz dalej a dalej na wschód. Najokropniej zapisała się w dziejach Marchja Północna (Nordmarck), założona przeciw Obotrytom i Lutykom, a największą zawziętością zasłynął margraf Gero. Zaprosił on raz na ucztę trzydziestu kniaziów słowiańskich, pod pozorem układów pokojowych, i w gościnie u siebie wszystkich wymordować kazał. Pławił się we krwi słowiańskiej, a zabory swoje rozszerzył aż po Odrę. Przekroczył ją i natknął się na Polan.

Na książęcy tron w Gnieźnie wstąpił wtedy młody Mieszko I. Pochodził z rodu Piastów, był synem Ziemomysła. Za słabe jeszcze były siły Mieszka, by mógł odeprzeć Gerona; pobity, musiał uznać nad sobą zwierzchnictwo srogiego margrafa.

Był wtedy na całym Zachodzie powszechny zwyczaj, że monarcha koronne swe kraje dawał w zarząd książętom: kraj taki zwano lennym, jego władcę lennikiem, a monarcha, jako jego zwierzchnik, był panem lennym. Lennik miewał pod sobą znowu pomniejszych lenników, a ci jeszcze drobniejszych. W razie wojny pan lenny wzywał swoich lenników, a zatargi między nimi godził i rozsądzał. Takie państwowe urządzenie, rozpowszechnione w Europie zachodniej, zowie się ustrojem feodalnym.

Pokonany Mieszko musiał uznać się lennikiem Gerona, który sam już był lennikiem króla saskiego i zarazem niemieckiego cesarza. Dla samodzielnego dotychczas kniazia Polan upokorzenie wielkie, ale zarazem i korzyść niemała, bo przecie Geron — jakkolwiek nigdy nie syty krwi słowiańskiej — nie mógł odtąd najeżdżać własnego lennika.

Mądry Mieszko pojął, że pogaństwo jest nieszczęściem i zgubą Słowian, bo daje Niemcom wyborny pozór do najazdów i mordów. Głębokim umysłem ogarnął on i sercem gorącem poczuł całą wyższość Bożej Prawdy nad bałwochwalstwem i całą wielkość europejskiej cywilizacji. A skoro z krzyża jedynie tryska światło i życie, to się go trzeba imać oburącz. Ale Mieszko sięgnął po Krzyż do pobratymców Czechów, którym już niemal przed stu laty św. Metody przyniósł był Ewangelję. Pojął Mieszko w małżeństwo Dubrawkę, czyli po polsku Dąbrówkę — córkę czeskiego księcia Bolesława I. Z nią razem przybyli kapłani czescy, którzy ochrzcili Mieszka i po całym kraju Polan roznieśli światło prawdziwej wiary w pamiętnym roku 966.

Mieszko dawne pogańskie imię swoje zmienił na Mieczysława, bo wszystko miało się odtąd zmienić i przeistoczyć na lepsze. Z chaosu i bezładu plemiennego, z nocy pogaństwa na światło dzienne zaczyna się wychylać nowy naród, zbudzony do wyższego życia, na duchu odrodzony i powołany do wspaniałej przyszłości. Mieczysław otwiera przed nim drogi nieznane, wprowadza go między narody chrześcijańskie, oświeceńsze i bardziej rozwinięte, by ze wspólnego skarbu cywilizacji europejskiej czerpał garściami pełnemi i przyswajał sobie chrześcijański obyczaj, wolność, prawa, godność i honor, wiedzę i oświatę, wszystkie nauki, rękodzieła i rzemiosła. Kraj Polan odtąd zaczęto po łacinie zwać Polonia, skąd poszła nazwa Polski.

Mieczysław i Dąbrówka sami gorliwie swój lud nakłaniali do chrześcijaństwa: na ich rozkaz walą się w proch bożyszcza zdruzgotane, w popiół obracają się dziko pomalowane kontyny pogańskie, i pod ostrzem topora padają dęby olbrzymie, poświęcone dawnym bogom; parte niedobitki pogaństwa, wróżbici, gęślarze i znachory z rozpaczą w sercu i przekleństwem na ustach precz uchodzą w najtajniejsze głębiny puszcz, by tam na odludnych uroczyskach odprawiać prastare obrzędy i gusła. Tłumne rzesze z wiarą żywą przyjmują chrzest w nurtach Gopła i Warty, choć w głębi duszy pozostał im jeszcze jakiś żal za bogami praojców, jakiś lęk zabobonny przed ich zemstą. Lecz w ziemię polską na wieki wieków mocno wbity krzyż Chrystusa Pana wyciąga ramiona i błogosławi całej krainie, wszystkim pokoleniom.

Mieczysław, jako lennik margrabiów, musiał w milczeniu połknąć nie jedno upokorzenie, lecz ich zbrojne zaczepki odparł mieczem. Tak naprzemian uległością i mężstwem bojowem zapewnił sobie trwały spokój od Niemców. A tymczasem wzrastał w siłę: przyłączył do swego dziedzictwa Łęczycan, Kujawiaków i Ślązan, zajął ziemię Wiślan z Krakowem, zagarnął Czerwonochrobację z grodami Czerwieńskiemi. Tak jednoczył bratnie plemiona, potrajał swoje dzierżawy, budował podwaliny przyszłej Polski.

Wprawdzie nie wszystkie nabytki zdołał utrzymać: grody Czerwieńskie wydarł mu Włodzimierz W., książę kijowski, ten sam, który wkrótce potem ochrzcił się wespół z swym narodem. Lecz mimo strat i uszczerbków, mimo ciążącej zwierzchności niemieckiej, państwo rosło w potęgę i powagę. To też Mieczysław, umierając, miał prawo z nadzieją spoglądać w przyszłość Polski, która nigdy nie przestanie czcić w nim praojca i chrzciciela swego.

Najstarszy syn Mieszka i Dąbrówki mocarną dłonią pochwycił rządy państwa. Miewała Polska po nim dość królów mężnych i mądrych, ale jego zaiste żaden już nie przewyższył. On to z małych początków ostrzem oręża swego rozprzestrzenił państwo polskie do rozmiarów ogromnych, on je silnem i roztropnem panowaniem wydźwignął do niezmiernej potęgi.

Naprzód wziął się do przyrodnich młodszych braci, którzy mieli przez ojca wyznaczone dzielnice pod zwierzchnictwem Bolesława. Lecz gdy zaczęli przeciw niemu bróździć i wichrzyć, przegnał ich na cztery wiatry i dzielnice ich wcielił do państwa. Tym sposobem zapobiegł rozpadnięciu się Polski, która pod jego berłem nie dzielić miała się, jeno skupiać w sobie i rozrastać.

Pierwszym jego dorobkiem było zhołdowanie Pomorza, rozdrobnionego między luźne książątka. Córkę jednego z nich, Emnildę, Bolesław pojął był w małżeństwo. Teraz wmieszał się w tamtejsze sprawy, zajął dwa najznamienitsze miasta: Gdańsk i Szczecin, kraj cały połączył i oddał w lenno krewniakowi swej żony. Tak wciągnął Pomorze w zależność od monarchji Piastów i Polskę oparł o wybrzeże bałtyckie.

Stamtąd rzucił się na wschód, w ziemię Prusów pogańskich. Dzicz to jeszcze była: nawet chleba nie jadali, bo nie znali rolnictwa, tylko żyli rybołówstwem. Zajął Bolesław całą południową połać ich kraju; do morza samego nie dotarł, bo zwycięski jego pochód zatrzymały nieprzebrodzone trzęsawiska i moczary.

Mając pod swojem panowaniem pruskich pogan, zaraz o tem Chrobry pomyślał, jak ich na wiarę świętą nawrócić, nie mieczem, nie gwałtem, jak to ze Słowianami czynili Niemcy, ale łagodnością i słowem Bożem. A właśnie na dwór Bolesława przybył świątobliwy biskup czeski, Wojciech, bo ze stolicy biskupiej w Pradze strącili go i wygnali rozruchy tamtejszego ludu, zatwardziałego w grzechach. Za sprawą Bolesława mąż Boży podjął się opowiadać Ewangelję pruskim poganom. A taka w nim była żarliwość, że władca polski napróżno chciał go dłużej zatrzymać u siebie: Wojciech przezimował tylko w Polsce i z wiosną ruszył do Gdańska z bratem swoim Radzymem, którego także zwano z łacińska Gaudentym. Chrobry dla bezpieczeństwa przydał im trzydziestu wojowników na drogę, lecz Wojciech straż odprawił i bezbronny puścił się z Pomorza w krainę pogańską. Apostolska praca szła opornie, dzicy Prusowie słuchali podejrzliwie, a raz, gdy pod gołym niebem na pniu ściętym odprawiał mszę świętą, dopadli go znienacka i wiosłami zabili. Na wieść o zgonie apostoła, Bolesław ciało jego na wagę złota wykupił od Prusów, aby je do Polski sprowadzić. Ludowe podanie prawi, że cięższe były zwłoki męczennika, niźli królewskie złoto i wysłannicy polscy już dali wszystko, co mieli; wówczas uboga wdowa chrześcijańska dorzuciła drobny pieniążek i tym groszkiem szalę przeważyła. Chrobry zwłoki męczennika przewiózł do Gniezna i w drogocennej trumnie postawił napośród katedry. Tak to praski biskup, odtrącony przez własnych rodaków, stał się pierwszym patronem Polski.

Na niemieckim tronie cesarskim zasiadł wówczas prawy i szlachetny Otton III. Młody cesarz ten różnił się od swoich poprzedników tem, że się brzydził tępieniem sąsiednich ludów i grabieżą ich ziemi. Zamyślał on utworzyć powszechny i dobrowolny związek wszystkich królów i panów chrześcijańskich pod przewodnictwem cesarskim, aby na drodze pokojowej rozstrzygały się wszelkie sprawy i spory między państwami bez wojen, bez przelewu krwi, bez krzywdy niczyjej. Potężnego władcę polskiego zapragnął Otton wciągnąć do tego związku. Przytem chciał pobożny cesarz nawiedzić szczątki św. Wojciecha, wybrał się przeto w pielgrzymkę do Gniezna w roku 1000-ym. Ślubował Otton, że dla czci większej na milę przed miastem zsiądzie z rumaka i piechotą, boso pójdzie do grobu św. patrona. Bolesław kazał całą tę drogę wysłać suknem i wyjechał z dworem całym naprzeciw gościa. I oto strojny z bajecznym przepychem, jasnowłosy młodzieniec, najdostojniejszy władca w chrześcijaństwie całem, kroczy bosą nogą po drodze moszczonej suknem czerwonem, a przy jego boku Chrobry, mąż olbrzymi, w zbroi łuskowej, w płaszczu kapiącym od złota — za nimi kardynałowie i książęta cesarscy i grafowie niemieccy. A z obu stron drogi — jak opowiada tamtoczesna kronika, — „na równinie rozległej nieprzejrzane hufce rycerstwa i drużyny pańskie, jakoby chóry anielskie jaśniejące blaskiem szat różnobarwnych", wszyscy w drogich futrach i złocie. Mroczna głębia tumu gnieźnieńskiego jarzy się od świec gorejących, a pośród katedry złocistemi połyskami lśni na ołtarzu bezcenna skrzynia, zawierająca szczątki męczennika; tuż obok na krzyżu rozpięta szczerozłota postać Chrystusa Pana — Chrobry „własnem ciałem odmierzył był posągowi wagę złota"; dokoła grobu mienią się przeróżne ozdoby złote, drogiemi kamieniami sadzone.

Przez trzy dni potem odbywały się królewskie biesiady; codzień pojawiały się na stole naczynia coraz inne, a codzień kosztowniejsze, nakoniec dnia trzeciego Bolesław całą tę zastawę złotą i srebrną darował w upominku. Wzbraniał się Otto, „że przybył tu nie nato, by zagrabiać i zabierać, jeno, by się modlić a dawać". I bacząc na wszystek przepych, potęgę i bogactwa, zawoła w podziwie: — „Na koronę cesarską! więcej widzę, niż mi sława głosiła. Nie godzi się tak wielkiego męża księciem nazywać; jemu przystoi raczej królewski tron i diadem!"

I zdjąwszy ze skroni swej diadem cesarski, włożył go Bolesławowi na głowę, na znak, że już odtąd uznaje go władcą niepodległym nikomu, swym przyjacielem i sprzymierzeńcem, a nie lennikiem, jakim był jeszcze Mieszko I. To też naoczny świadek, niemiecki kronikarz, który nienawidził Bolesława, z gniewem zapisał w swojej kronice: — „Boże, odpuść to cesarzowi, że hołdownika dzielnym panem uczynił!"

Na odjezdnem obaj monarchowie dali sobie wzajemnie pobożne pamiątki: Chrobry ofiarował Ottonowi ramię św. Wojciecha, cesarz darował mu gwóźdź z Krzyża Pańskiego, nadto włócznię św. Maurycego, która do dziś dnia przechowuje się w skarbcu Katedry wawelskiej.

Zostawił też Chrobremu i Polsce inną pamiątkę, dar ogromnego znaczenia: biskupstwo poznańskie, na ziemiach polskich dotąd jedyne, podlegało arcybiskupowi niemieckiemu w Magdeburgu; cesarz podniósł je do godności arcybiskupstwa, zawisłego już teraz jedynie i wprost od samego papieża. Kościelna niezawisłość Polski od Niemiec była koniecznem dopełnieniem państwowej niezawisłości. Otton III przeniósł zarazem arcybiskupią stolicę z Poznania do Gniezna; zasiadł na niej brat św. Wojciecha, jako pierwszy arcybiskup. On rozpoczyna szereg prymasów gnieźnieńskich, czyli naczelnych zwierzchników polskiego Kościoła, którzy koronowali królów polskich, a podczas bezkrólewia dzierżyli opiekę nad państwem.

Miał tedy Bolesław państwo rozległe, ludne, bogate i zgoła już od nikogo niezależne, miał skarby nieprzebrane i wojenną drużynę liczną, dobrze zbrojną, do boju wyćwiczoną. Cała ta potęga w żelaznej garści Bolesława miała posłużyć do zjednoczenia wszystkich ziem Słowiańszczyzny zachodniej.

Wnet po gnieźnieńskiej pielgrzymce Otton III zmarł przedwcześnie, a cesarzem został Henryk II, dla Polski usposobiony wrogo. Bolesław zaraz wydarł Niemcom dwie marchje, na ziemiach słowiańskich założone: Łużycką i Miśnieńską na północ od Czech. I same Czechy miał ciągle na oku, bo tam w królewskim domu Przemyślidów nieustannie wrzały spory o tron między rodzonymi braćmi. Chrobry jednym zamachem opanował Czechy i Morawy i do Pragi wjechał, jak zbawca, witany przez tłumy ludu, któremu się przejadły nieustanne waśnie i okrucieństwa. Cesarz porwał za broń: polski sąsiad we znaki mu się dawał, zanadto rósł w potęgę. Wybuchła wojna zażarta i długa, która na trzy zawody z przerwami trwała lat bezmała piętnaście. Henryk II nie sromał się przeciwko chrześcijańskiemu władcy sprzymierzyć się z pogańskimi Lutykami, ale nic nie wskórał.

Henryk uwziął się, że złamie Bolesława. Zwyciężony, zawierał pokój dwukrotnie, i wnet potem dwukrotną ponawiał jeszcze wojnę, a Chrobremu przecie nie podołał. Bo król roztropnie unikał walnej bitwy na otwartem polu. Wolał wojnę podjazdową, zachodził Niemcom tyły, raz po raz uderzał na nich z boku, zasiekami zagradzał im drogę, chytrze wciągał ich w zasadzkę między bagna. Cesarskie hufce topniały bez bitwy.

Stanął wkońcu pokój w Budziszynie w r. 1018. Henryk musiał ustąpić Chrobremu wszystkie jego zdobycze: cały Śląsk i Morawy, Miśnię i Łużyce; Polska sięgała po Łabę. Tylko w Czechach nie utrzymał się Bolesław: odpadły były jeszcze na początku wojen z Henrykiem, który wiernych mu Przemyślidów nieomieszkał zaraz osadzić na tronie czeskim.

Pokój budziszyński rozwiązał ręce królowi polskiemu, wzywały go bowiem na wschód pilne sprawy ruskie. Miał tam Chrobry córkę, wydaną za Świętopełka, który po swym ojcu Włodziemierzu wstąpił na W. Księstwo Kijowskie. I tutaj młodzi bracia burzyli się przeciwko starszemu. W. książę trzech z pomiędzy nich zgładził okrutnie, czwarty Jarosław podniósł bunt i Kijów opanował, a Świętopełk ledwo z życiem uciekł do Polski. Zaraz po zawarciu pokoju w Budziszynie zerwał się Bolesław zięciowi na pomoc i na czele wojsk swoich stanął nad Bugiem. Po drugiej stronie rzeki z nieprzeliczonym tłumem rozłożył się taborem Jarosław, pilnując przeprawy. Przez wodę łajali siebie wojownicy szpetnemi słowy z jednego brzegu na drugi. „A był u Jarosława — pisze kronika ruska — piastun i wojewoda Błudyj; ten począł łżyć Bolesława mówiąc:

— Poco ty tu?! Oto oszczepem przeprujemy twój brzuch tłusty!

Był bowiem Bolesław ciężki a wielki, że ledwie na koniu mógł usiedzieć, ale bystrego rozumu. I rzekł Bolesław do swej drużyny:

— Jeśli wam nie wstydno tej obelgi, to ja polegnę sam! — I z koniem rzucił się w nurty, a za nim runęło hurmem całe wojsko, nim Jarosław zdążył sprawić do boju swoje tłumy. Chrobry tak ich rozpędził, jak wiatr tumany kurzu; mnóstwo niezmierne poległo ich w ucieczce. Już otworem stała przed zwycięscą droga do stolicy. Chrobry zdobył Kijów, największe miasto ruskie, jaśniejące złotemi baniami czterystu cerkwi, rojne nieprzeliczonym ludem, przepełnione skarbami niewysłowionemi. Gdy wjeżdżał przez Złotą Bramę, na znak podboju ciął mieczem w jej wrota pozłociste; wyszczerbiło się ostrze i miecz Bolesława otrzymał stąd pamiętne miano „Szczerbca". Świętopełka na tronie posadziwszy, wracał król w triumfie i po drodze jeszcze grody Czerwieńskie Rusinom odebrał. Odtąd już nie potrzebował z pochew dobywać Szczerbca, którym Polsce wyrąbał tyle miejsca na świecie, — od Bałtyku po Dunaj, od Łaby aż po Dniepr. Dano mu było jeszcze przez lat siedem w pokoju mądrze i pracowicie gospodarzyć rozległem państwem.

Rządy Chrobrego w domu godne były najświetniejszych zwycięstw. Tępił kryjące się po kątach szczątki pogaństwa, najżarliwiej popierał i krzewił chrześcijaństwo. Sprowadził w tym celu do Polski uczony i pracowity zakon benedyktynów i zakładał im opactwa, jak np. w Tyńcu pod Krakowem, albo świętokrzyskie na Łysej Górze. Troskliwym, sprawiedliwym ojcem był również dla prostego ludu, krzywdy, rozboje, gwałty karał surowo, że zaś był z natury popędliwy, przeto małżonka jego, łagodna Emnilda, musiała często gniew królewski uśmierzać i łaskę wypraszać dla winowajców.

Dobrze się działo Polsce pod silnym i błogim rządem Bolesława: mnożyły się bogactwa, szerzyła się oświata i chrześcijański obyczaj. Poddani kochali króla, bali się go jak ognia wrogowie. Chcąc uwieńczyć ostatecznie dzieło swego żywota, postanowił się Chrobry koronować, ale na to potrzebne było pozwolenie Ojca świętego. Słał więc posły do Rzymu, lecz po drodze chwytał ich zawistny cesarz Henryk i wciąż udaremniał koronację. Bolesław przeczekał Henryka. Jak słońce o zachodzie nad ziemią staje całe w purpurze i w złotej obręczy blasków, tak Bolesław zajaśniał nad Polską w majestacie monarszym, na tronie, z koroną złotą na czole. W Gnieźnie namaścił go i przywdział mu koronę arcybiskup „na znak widomy niepodległości państwowej".

W rok potem Chrobry leżał już na marach. Polska odżałować nie mogła swego założyciela. Przez rok cały nigdzie nie było tańców ani muzyki, zawodzono tylko pieśni żałobne o wielkim królu. Jak echo tych zawodzeń brzmi łaciński wiersz, którym kronikarz polski, w sto lat później żyjący, kończy opowieść o Chrobrym:

Biada, biada, Bolesławie, kędyż twoja dziś chwała?
Gdzie twe męstwo, dostojeństwo, gdzie zasobność wspaniała?
Biada teraz, Polsko, Tobie — masz, o cobyś płakała!